

Opracował: Andrzej Pieńkowski
Poznań, 20 lipca 2016 r.

Krzewo – pamiętnik mojej mamy¹

Wspomnienia

Urodziłam się z 13/14 października 1906 r. w Stanowiskach, gm. Przedbórz, woj. kieleckie w majątku mego ojca, Karola Czaplickiego. Matka z domu Tymowska była drugą żoną ojca. Pierwsza żona z Kozieł-Poklewskich zmarła na gruźlicę, pozostawiając czworo dzieci: Marię, Leopolda, Eugenię i Barbarę. Z drugiego małżeństwa było nas troje: Włodzimierz, Andrzej i ja, Elżbieta.

Ojciec był bardzo bogaty. Miał duży majątek Stanowiska i dwa duże folwarki. Matka moja miała również duży majątek Mokrzesz w Częstochowskim, gm. Wancierzów.

Ojciec, mając kłopoty po śmierci żony z tyloma dziećmi, ożenił się po raz drugi z moją matką, osobą bardzo przystojną, zgrabną, wykształconą, dobrą, łagodną, a więc idealną wychowawczynią dzieci ojca. Znała język francuski, niemiecki, grała na fortepianie.

Nie była to jednak miłość. Matka nie była szczęśliwa. Ojciec często wyjeżdżał za granicę, przeważnie do Monte Carlo. Powodowało to upadek gospodarstwa.

Zostały wreszcie sprzedane obydwie folwarki, co pozwoliło na spłacenie dzieci z pierwszego małżeństwa, przy czym Eugenia – zamężna z Reniem (Ireneuszem – przyp. – A.P.²) Laskowskim otrzymała Stanowiska. My zaś (czyli trójka z drugiego małżeństwa – przyp. A.P.) przenieśliśmy się do Mokrzeszy, gdzie ojciec wybudował duży dwupiętrowy dwór. Był to chyba rok 1910–1911.

Ojciec skończył architekturę w Leuven w Belgii. Zaprojektował ten dwór – okropny (sam zresztą stwierdził potem, jak mówiła mi mama, że był to najbrzydszy obiekt, jaki zdarzyło mu się zaprojektować – przyp. A.P.).

Wchodziło się do budynku bez ganku, ogromny hall urządzonej jak salon, z którego było wejście do 40-metrowej jadalni, a stamtąd do dużego salonu; na pierwszym piętrze też

¹ Całe opracowanie wraz z materiałami dokumentacyjnymi ukaże się w kolejnym tomie „Rodów i rodzin Mazowsza i Podlasia” na początku 2023 r.

² Przypisy Andrzeja Pieńkowskiego.

ogromny salon i cztery pokoje; na drugim piętrze duży pokój i dwa strychy. Ubikacja – na dworze, kuchnia w starym, niskim dworze (połączonym z nowym budynkiem – przyp. A.P.).

Ojciec zajmował się niestety mało Mokrzezą, bo też jeździł do Monte Carlo. Nami mało się interesował, stosunki z mamą były chłodne. Miał oddzielną sypialnię na pierwszym piętrze.

Raz tylko, pamiętam, był wielki bal, tańczono w tym salonie na pierwszym piętrze.

W 1914 r. na początku wojny ojciec, bojąc się frontu, postanowił wywieźć nas do Rawanicz koło Mińska Litewskiego do swoich bardzo bogatych kuzynów Słowińskich. Był to wielki błąd i duże niebezpieczeństwo dla mamusi i dla nas. W 1917 r. musieliśmy uciekać do Mińska. Niedługo potem ojciec zmarł na serce.

Pobyty w Mińsku był potworny, ale dzięki kuzynowi mamusi, hr. Ostrowskiemu, jednemu z trzech Regentów w Polsce powojennej, udało nam się wrócić do Polski. Niestety dwór (w Mokrzeży – przyp. A.P.) był rozkradzony, majątek zaś był fatalnie prowadzony przez dwóch kuzynów mamusi. Mimo to na pewno dzięki pomocy Bożej, mając rządcę Mokrzez, egzystowała. Zawsze był ktoś z rodziny na utrzymaniu.

Ja miałam najpierw nauczycielkę Francuzkę, moi bracia – nauczyciela. Oni poszli potem do Szkoły Kadetów pod Krakowem. Brat Andrzej rozpoczął następnie studia na Uniwersytecie Warszawskim, na kierunku ekonomicznym, natomiast drugi brat, Włodek, zaangażował się w pomaganie zarządzaniem Mokrzezą. Moja najstarsza siostra przyrodnia, Maria, zmarła w Mokrzeży na gruźlicę.

Ja wyjechałam do Częstochowy do gimnazjum S.S. Nazaretanek, a od 5-tej klasy byłam w Klasztorze S.S. Niepokalanek w Nowym Sączu. Po skończeniu szkoły u Sióstr byłam parę miesięcy na kursie gospodarczym w Kuźnicach koło Zakopanego, który prowadziła hr. Zamojska. Po jego ukończeniu zostałam zaangażowana przez S.S. Niepokalanek w Jazłowcu jako wykładowca w początkującej szkole gospodarczej.

Szkoła ta niestety nie miała jednak przyszłości, w związku z czym pojechałam do Warszawy na roczny kurs ogrodniczy.

Podczas przerwy w okresie Bożego Narodzenia (roku nie pamiętam) byłam przez dwa tygodnie u mojej koleżanki i przyjaciółki hr. Zofii Kossakowskiej w majątku Brustowica koło Grodna, w którym stał stary ogromny pałac. Były to cudowne święta. Uczestniczyłam w polowaniu na wilki. Niestety choć teren lasu był oflagowany, wilki zdołały się wydostać poza teren obstawy i polowanie zakończyło się bez sukcesu.

Przez jedną noc graliśmy we czwórkę w pokera; brat Zosi, porucznik ułanów, zakochał się we mnie, ale bez wzajemności. Było zabawnie, bo gdy skończyło się wino

wówczas gracz, który w tym momencie przegrał, musiał iść po następną butelkę do piwnicy. Miałam pecha! Szłam „z duszą na ramieniu”; szło się szerokim na parę metrów i długim korytarzem, na którego ścianach były popiersia antenatów rodziny, a m.in. popiersie „Białej Damy”, która podobno straszyla.

Kiedy kurs ogrodnicy miał się ku końcowi przyjechała do Warszawy p. Maria Lutosławska z Drozdowa k/Łomży. Szukała praktykantki ogrodniczej. Dyrektor wytypował mnie. Od razu przypadłyśmy sobie do serca.

Państwo Lutosławscy byli bezdzietni i trochę skłóceni z całą rodziną, a że ja podeszłam do nich z całym sercem, tak mnie pokochali, że zaproponowali, bym została u nich jako siostrzenica. Ponieważ majątek mojej matki był w dzierżawie, więc nie miałam tam nic do roboty i chętnie zgodziłam się na tę propozycję.

Był to rok 1928. Drozdowo było dużym majątkiem z ogromnym ogrodem. Był zatrudniony ogrodnik i dwóch ogrodniczaków. Ciocia powierzyła mi niedługo nadzór nad całym ogrodem. Prócz tego byłam sekretarką wuja, który tracił wzrok.

Wujostwo pędzili początkowo luksusowe życie; był samochód – sześćosobowy Buick ze stałym szoferem, służba: kamerdyner, pokojówka, kucharka z pomocnicą. Poza tym było czteropokojowe mieszkanie cioci w Warszawie, ze stałą gosposią.

W 1929 r. pojechaliśmy do Poznania na PeWuKę, a stamtąd – do hr. Kwileckich do Dobrojewa, a następnie do majątku Drzymały-Siedleckiego. Była to przecież bardzo kosztowna wyprawa, ale wujostwo nie żałowali sobie na nią. Konsekwencje tej rozrzutności wystąpiły niestety pod koniec ich życia.

Oprócz Drozdowa Dolnego było Drozdowo Górne – stara siedziba rodziny Lutosławskich.

Kiedy przyjechałam do Drozdowa mieszkała tam podczas lata rodzina Mariana Lutosławskiego (on i Jego brat zostali rozstrzelani w Rosji) – p. Marianowa z córką Zofią, synami: Franciszkiem i Henrykiem oraz p. Józefowa z synem Jerzym. Jerzy i dyr. Baczyński prowadzili browar, który produkował świetne piwo (słynące poza granicami Polski – przyp. A.P.). Przed wojną nawet rosyjski dwór carski pił piwo *Drozdowskie*. Tak było chyba do 1931 r. Nie wiem, dlaczego browar został zamknięty, a wszyscy wyjechali do Warszawy, gdzie obydwie rodziny miały mieszkania.

Lata pobytu w Drozdowie były dla mnie najszczęśliwszymi wówczas latami w życiu. Byłam kochana przez wszystkich, przez panów też – dwóch starało się o moją rękę. Los chciał jednak inaczej. Starał się też o mnie sąsiad Drozdowa, Władysław Pieńkowski, i choć

on był zawsze na końcu moich marzeń, został moim mężem na 54 lata szczęśliwego małżeństwa.

Wyjechałam z Drozdowa w zimie 1934 r. Na jesieni był nasz ślub w Mokrzeszy. Wujostwo nie mogli być niestety, bo ciocia była chora (rak) i już leżała, a wuj, ślepy staruszek nie dałby rady pojechać.

Wracając ze ślubu, zajechaliśmy do wujostwa na wspaniały obiad; Drozdowo było w połowie drogi z Łomży do Krzewa, majątku Pieńkowskich. Nie było w Krzewie luksusów (jak na owe czasy, bo teraz to by się tak nazywały), ale żyliśmy dostatnio i miło. Mieliśmy liczne otoczenie sąsiadów i świetne stosunki międzysąsiedzkie. Wśród sąsiadów byli Bogdanowie Lutosławscy, Dzieduszyccy, Jabłońscy, Kuberscy, Lasoccy i inni.

Teść i mąż prowadzili hodowlę koni-remontów dla potrzeb wojska.

Mąż i ja mieliśmy swoje konie wierzchowe. Dużo polowaliśmy.

Mąż bardzo starannie prowadził majątek +/- 560 ha pól, łąk, jezior i lasów.

Trwało to niestety krótko. Kiedy w 1939 r. zbliżała się wojna, zapakowaliśmy ogromny kufer najcenniejszych rzeczy, które mąż wysłał do swego stryja, który administrował majątek bardzo bogatych ludzi koło Ciechanowca. Wszyscy myśleli, że tam Niemcy nie dotrą!

Kiedy wybuchła wojna, „ktoś” w Łomży wydał rozporządzenie, by mężczyźni od 16 do 60 lat przeszli Narew i Bug.

Najpierw mieliśmy jechać razem, ale ja zdecydowałam, że mąż zbierze męską służbę i konno pojedą do stryja. Ja z rodzicami, synkiem i nianią zostaję. Jednak po jego wyjeździe zrobiło mi się tak smutno i straszno, że postanowiłam za nim pojechać. Szczęśliwie wozem drabiniastym przyjechała sąsiadka z córką. Zgodziły się jechać ze mną. Córka powoziła wozem, a ja – powozem zaprzężonym w parę młodych 3-latków, bo wojsko zabrało wszystkie starsze konie (były to, pamiętam jako dziecko, ręce gniadosze! – przyp. – A.P.). Sąsiadka z moim 4-letnim synkiem siedziała z tyłu, a ja na koźle powoziłam. Jeden z fernali przeprowadził nas wpław przez Narew, która była szczęśliwie płytka. Był jednak moment, że woda zaczęła nas znosić. Konie nie przyzwyczajone na szczęście do bata, gdy nim dostały skoczyły do przodu i znaleźliśmy się na drugim brzegu. Z modlitwą na ustach ruszyliśmy już same.

Było jeszcze około 30 km. Dojechałyśmy do majątku przy torze kolejowym. Tam było już masa sąsiadów. Wszyscy odradzali dalszą jazdę, twierdząc, że Niemcy już tam są, że tuż przy przejeździe przez tory leży bomba, która może w każdej chwili wybuchnąć. Moja myśl –

muszę dojechać do Władka. Ruszyliśmy, do toru 1 km, a tu słyhać pierwsze bombowce. Zatorem las, więc tam popędziłyśmy, bombowce nadleciały, ale już nas nie zauważyły.

Zaczyna się szarówka, z lasu wychodzi dwóch drabów wojskowych, pytają, dokąd jedziemy. Nie tracę zimnej krwi, bo majątek ten już niedaleko; mówię, że za mną jedzie mój mąż ze służbą – uwierzyli, a ja konie batem i jazda.

Już ciemno, godzina 10-ta, wjeżdżamy w bramę do ogromnego pałacu (40 pokoi), ani jednego oświetlonego okna. Wychodzi para starszków; okazuje się, że to stróż z żoną. Mówią, że stryj z panem i służbą wyjechali w południe w kierunku południowym. Moment przerażenia, ale modlitwa pomaga. Proszę panie, by zajęły się przygotowaniem czegoś do zjedzenia, a ja napoję i zaobrokuję konie. Był to dla mnie wyczyn, bo przecież nigdy przedtem tego nie robiłam.

Okolo 12-tej w nocy, kiedy mam zamiar się położyć, słyszę hałasy, różne głosy i głos męża. Wpadamy sobie w objęcia! Co się okazuje! Gdy wyjechali, skoro świt po pewnym czasie mąż mówi, że coś mu szepce-wracaj! Mówi w południe stryjowi, że wraca, na to stryj z radością – to ja też! Czy to nie było cudowne?!

Była sobota, przyjechało jeszcze kilka rodzin. W niedzielę idziemy do kościoła. Mijamy gromadki przerażonych Żydów. Ciechanowiec to prawie sami Żydzi.

We wtorek już są Niemcy, a myśmy uciekali przed nimi spod Łomży!

Krzyk – dowiadujemy się, że rozbili duży oddział konny naszego wojska. Przerazenie i żal. Całe szczęście, że Niemcy to było wojsko, a nie gestapo; w pewnej chwili każą wszystkim mężczyznom stawić się na placu. Znowu nasze przerażenie. Szczęśliwie, dowiedziawszy się, że to rodziny ziemiańskie, puszczają wszystkich wolno.

Po dwóch tygodniach przychodzi ktoś z Krzewa i mówi, że spokojnie, więc wracamy. Rodzice zostali we dworze, więc i z naszego domu nic nie zginęło. Ale cóż – zjawia się sąsiad mówiąc – uciekajcie, bo idą sowieci, jeszcze gorsi niż Niemcy.

Co robić? Rodzice nie chcą wyjechać, wierząc propagandzie bolszewickiej, że będą zostawiać nieco hektarów i pozwolą pozostać.

Jest czwartek, nazajutrz rano ogrodnik ma jechać z pełnym wozem warzyw jak co tydzień na targ celem ich sprzedania. Przychodzi karbowy, nasz przyjaciel i prosi, byśmy zaraz wyjechali, bo miejscowi komuniści powiedzieli, że zabiją dziedzica. Nie ma więc rady, mówimy, że my o 5-tej rano wyjedziemy tym wozem do Łomży na targ. Nie możemy zabrać syna, bo byłoby to podejrzane. Spokojni zostawiamy go pod opieką dobrej niani, która przyrzeka nam, że w razie czego zabierze go do swojej rodziny w Łomży wraz z rodzicami.

Świtaniem całuję śpiącego synka; pomyślałam we łzach, że jeśli się obudzi – zostaje. Wyjechaliśmy z lękiem. Zatrzymaliśmy się w Łomży w willi wujostwa męża, ale na krótko, bo ktoś nas ostrzegł, by się kryć, bo mogą szukać męża.

Zjawia się osoba, którą kiedyś słabnącą zawiozłam powozem do szpitala i proponuje z wdzięczności, że ukryje nas w swoim mieszkaniu. Jest to na strychu, mały kącik, w którym musimy zachowywać się cicho. Makabra – od razu taka nędza.

Odwiedza nas karbowy, przynosząc trochę pożywienia i wiadomości. Nasze przerażenie, bo mówi, że nazajutrz po naszym wyjeździe miejscowi komuniści wywieźli ojca do więzienia do Łomży, skąd po paru dniach bolszewicy wywieźli go dalej na Syberię, w rejon Archangielska, gdzie zginął zatrudniany przy wyrębie lasów³.

Opowiedział, że wtedy zapakował matkę, synka i nianię na wóz, by wywieźć do Łomży. Kiedy wyjeżdżali z parku podszli ci miejscowi komuniści, wyrzucili z wozu słoiki, jakie włożyła niania, owoce i inne rzeczy, ale pozwolili odjechać⁴.

Ani mama, ani Andrzejek, ani niania nie wiedzieli, że jesteśmy w Łomży.

Po dwóch tygodniach naszej męki za namową karbowego, który polecił męża swojemu kuzynowi, bogatemu gospodarzowi mieszkającemu około 20 km za Łomżą, mąż wywędrował z Łomży. Odprowadziłam go do rogatek; pożegnaliśmy się, nie wiedząc, czy jeszcze się kiedyś zobaczymy. Tak było trzy razy. Pierwszy raz, gdy wyjeżdżał konno z Krzewa, drugi – to właśnie ten, a trzeci – gdy dostał się do sowieckiego więzienia.

Po paru tygodniach, nie mogąc już wytrzymać u tego gospodarza, wraca do Łomży. Moja radość i przerażenie. Na szczęście na peryferiach Łomży znajdujemy pokój u porządnym ludzi. Codziennie wieczorem noszę mężowi jedzenie. Chodzę otulona chustką ciągle innymi ulicami. Staje się to jednak niemożliwe na dłuższą metę. Ktoś poleca mi dwóch przewodników, którzy mają nas przeprowadzić przez „zieloną granicę” do Generalnej Guberni (o ironio do drugiego wroga! – przyp. – A.P.). Wówczas najgorsze, że chcą z nami uciekać: siostra męża z 9-cioletnią córką, żona ciotecznego brata też z taką córką i starsza już matka M\męża. Przewodnicy oponują, że takiej gromady nie przeprowadzą. Ja sama muszę o

³ Wiadomość o dziadku przywiózł mieszkaniec okolic Krzewa, który był również wywieziony w okolice Archangielska. Był dużo młodszy od dziadka, dostał się do armii gen. Władysława Andersa, a po wojnie wrócił do Polski. Powiedział w wielkiej tajemnicy mojemu ojcu, że spotkał się z dziadkiem (71 lat), który był zatrudniony przy wyrębie lasów. Tam zginął. Nie udało mi się trafić na jakikolwiek ślad po nim, nawet szukając przez Memoriał w Moskwie.

⁴ Pamiętam jako niespełna 4-letni chłopiec, jak komuniści zatrzymali wóz, podszli i zapytali: Co tam macie? Otworzyli lubiane pudło (mam je do dziś), zobaczyli jabłka i ich przywódca (znane mi nazwisko) powiedział (pamiętam też do dziś): „Teraz my będziemy jedli jabłka, a ty będziesz gryzł kamienie”.

wszystkim decydować. Modłę się i postanawiam zaryzykować. Przekonuję przewodników, siadamy na dwa wynajęte wozy. Dowożą nas około kilka km od granicy. Musimy wysiadać.

Jest marzec, mży deszcz. Ja biorę synka owiniętego w koc na barana jak cyganka, mąż – dwa toboły różnych potrzebnych rzeczy i ruszamy. Idziemy przez grząskie pastwiska. W pewnym momencie przeleciał koło nas ogromny pies, ale ani się nie zatrzymał, ani nie zaszczekał.

Dochodząc do granicy, przewodnicy nakazują absolutną ciszę. Granica to wąska rzeczka, szczęśliwie niegłęboka, tylko do kolan. Blisko za granicą jest osada chłopa, do którego przewodnicy nas prowadzą. Jesteśmy uradowani, że już jesteśmy bezpieczni! Płacimy przewodnikom. Zmordowani, zjadłszy jajecznicę, układamy się do snu na ziemi.

Ranitko budzi nas gospodarz, mówiąc, że wozem przewiezie dzieci i mamę. My z mężem pójdziemy z siostrą jego żony jedną drogą, jego żona z siostrą męża i kuzynką – drugą drogą. Potem zejdziemy się i już wszyscy razem pojedziemy do kuzyna męża, którego Niemcy zostawili na majątku.

Oczywiście, rzeczy zostawiamy u gospodarza, sami idziemy niby do kościoła. Cudem, bo inaczej tego nazwać nie można, znajduję przedtem w podręcznej torbie czarną pastę do butów, szczotkę i moje pantofle skórzane. Mąż przed wyjściem oczyścił zabłocone buty z cholewami, ja kładę pantofelki. To nas ratuje, bo po drodze napotykamy posterunek niemiecki. Podejrzenie, że przeszliśmy granicę⁵. Ja bezczelnie mówię, że idziemy do kościoła z kuzynem, że przecież przechodząc granicę, bylibyśmy ubłoceni. Bez wiary, ale puszczają. Idziemy już sami, bo idąca z nami kobieta ulotniła się. Idziemy wolno, mówię coś do męża śmiejąc się, bo Niemcy stoją i przyglądają się nam. Nie wiemy, która droga, ale naprzeciwko wychodzi kobieta. Ja mówię tylko do niej – odpowiedzcie i nie pokazujcie, która droga do tego majątku. Udało się!

Panie też natknęły się na posterunek, ale nie umiały się wytłumaczyć. Niemcy zabrali im biżuterię, jaką miały na sobie, i zatrzymali.

My na szczęście dotarliśmy do majątku kuzyna. Mama i dzieci już tam były. Kuzyn, kiedy dowiedział się o zatrzymaniu Stefy (siostra męża) i Wiesi (kuzynka męża), mając jeszcze dobre kontakty z Niemcami, pojechał na posterunek i wy dostał obydwie panie.

⁵ Gospodarz, u którego zatrzymaliśmy się po przejściu granicy, wiozł babcię, mnie i jeszcze kogoś wozem wypełnionym różnymi rzeczami do majątku wuja, dokąd zmierzali rodzice. Akurat w czasie kontroli rodziców przez Niemców przejeżdżaliśmy drugą drogą biegnącą górą powyżej tej drogi, na której stali rodzice i Niemcy. Mama opowiadała potem, że kiedy zobaczyła mnie na wozie, to prawie struchlała ze strachu, bojąc się, że ja krzyknę: „Mama”. Modliła się, by to nie nastąpiło. Modlitwa została na pewno wysłuchana, bo ja (pamiętam ten moment doskonale), kiedy ich zobaczyłem patrzyłem na rodziców jak na zupełnie obcych ludzi z absolutną obojętnością. To ich uratowało. Nas też!

Sprytny kuzyn przyjmował zwykle trzech żandarmów niemieckich, upijał ich, a odwożąc bryczką, kładł na spodzie worki z pszenicą i w ten sposób przewoził ją w określonym celu.

Po paru dniach pobytu bojąc się trzymać nas dłużej, pomógł nam wyjechać do Warszawy.

W Warszawie rozdzieliliśmy się z mamą i kuzynkami. Nas przyjął mój brat, który był dyrektorem banku.

Jednego dnia oboje z mężem cudem uniknęliśmy łapanki, a więc i obozu. Jechaliśmy tramwajem; łapanka-rozkaz, by wszyscy wysiedli z tramwaju. Mąż schował się pod siedzeniem i pojechał dalej; ja znalazłam się na ulicy; łapanka, ale udało się z innymi ludźmi uciec.

Po pewnym czasie, nie chcąc być ciężarem dla brata, wyjechaliśmy do Mokrzeszy pod Częstochową do mojej matki. Mój drugi brat kierował majątkiem, ale czynił to niepomysłnie i dla majątku, i dla rodziny, więc matka oddała go w administrację memu mężowi.

Niestety trwało to niedługo. Mąż, nie mając pieniędzy na zapłacenie kopaczom kartofli, posłał do Mstowa (gmina) do Żyda 500 kg zboża. Na nieszczęście żandarmeria przejęła ładunek. Niemcy zwolnili męża z pracy i przysłali rządcę, Polaka, ale złego człowieka, dbającego tylko o swoje interesy, a więc niechącego mieć świadków swoich ciemnych interesów. Kazał nam się wyprowadzić ze dworu.

Wynajęliśmy więc na wsi całą chatę; pokój, kuchnia i mały zakamarek. W kuchni spała Helcia, stara gospodyni mamusi, w pokoju – mamusia z naszym synkiem, a my spaliśmy w tym zakamarku⁶. Jakimś cudem przeżyliśmy zimę.

Kiedy w 1941 r. Niemcy przekroczyli ruską granicę, mąż mój pojechał do Krzewa do swojego majątku⁷. Treuchender (nazywał się Cichol – przyp. A.P.) Niemiec, z pochodzenia Ślązak, starszy pan, przyjął męża jako rządcę. Sam mieszkał w drugim majątku odległym o 27 km od Krzewa, więc dojeżdżanie do Krzewa sprawiało jemu trudności. Taka sytuacja była dla

⁶ Kolejny obrazek, który pamiętam z tamtego czasu. Lato, piękny słoneczny dzień, południe. Wybiegłem na drogę i zobaczyłem z daleka kolumnę niemieckich samochodów. Nie namyślając się, stanąłem w rozkroku na środku drogi, palcami rozciągnąłem usta, wysunąłem język i... na wszelki wypadek – „w nogi”. Wpadłem do stodoły, wgramoliłem się na zasiek i wpadłem w dziurę w zasięku. Nie przestraszyłem się tego, ale bałem się, że Niemcy mogą mnie znaleźć. Opowiadano mi potem, że kolumna zatrzymała się, Niemcy wypytywali się, gdzie ten chłopak. Nikt się nie przyznał, że tu mieszka jakiś chłopiec i szwaby po jakimś czasie odjechały. Zaczęto mnie szukać, ale siedziałem cicho nie wiedząc, że odjechali. Kiedy usłyszałem wreszcie, że odjechali, zacząłem wołać. Okazało się, że ta dziura w zasięku była nie dalej niż ponad pół metra od jego brzegu. Zostałem wyciągnięty; tego, co było dalej, nie pamiętam.

Teraz żartuję, że brałem udział w ruchu oporu, bo bądź co bądź kolumna pojechała z opóźnieniem na front wschodni!

⁷ Niemcy zezwolili, by właściciele majątków z tego rejonu Polski wrócili i gospodarowali jako rządcy. Nie trwało to jednak długo, bo w 1942 r. wyrzucili ich już na stałe.

męża świetna, bo prawie sam prowadził majątek ku zadowoleniu Niemca i nas. Niestety po paru miesiącach ten stary Niemiec nie mógł dać rady w doglądaniu dwóch majątków, więc przysłali innego, ale zakutego szwaba, wroga Polaków. Mieszkał też w drugim majątku, ale oddalonym tylko o 10 km, więc często dojeżdżał. Trzymał wszystko twardą ręką, bił i poniżał polskich robotników.

Mąż należał do AK; o 2 km za Narwią na rozległych łąkach był obóz AK. Czasem w nocy przychodzili do męża. Baliśmy się.

Niemcowi zaczęło się nie podobać, że właściciel jest w swoim majątku, tak że wreszcie kazał nam wyjechać. Na całe szczęście nasze niedługo potem Akowcy zastrzelili jadącego bryczką Niemca⁸. Gdybyśmy byli w Krzewie, to posądzenie o jego zgładzenie mogło paść na męża.

Zamieszkaliśmy po wypędzeniu nas z majątku w drugiej wsi od Krzewa, wynajmując ½ chaty. Ja zarabiałam, wożąc dyrektorowi hurtowni nafty (nie pamiętam nazwy) masło, za co on pozwalał mi nalewać do dużego baku naftę, którą sprzedawałam gospodarzom. Kiedyś już szarówką wracałam z Łomży, mając pod sianem ten bak nafty. Raptem słyszę: Halt! Kto jedzie? Śmiało spokojnie mówię: Ehefrau des Nachlasserben im Krzewo. Niemcy mieli wtedy jeszcze pewien respekt dla dziedziców i odpowiedzieli: Gut loss! (nie jestem pewien poprawności językowej – przyp. A.P.). Dopiero wówczas zatrzęsłam się ze strachu.

Zapomniałam napisać, że mąż, gdy dostał tę posadę rządcy, napisał, byśmy przyjechali z synem do Krzewa. Zaopatrzywszy mamusię, w co tylko mogłam, wyjechałam.

Po pewnym czasie rządcą w Mokreszy został wyrzucony za coś przez Niemca; przyszedł inny, porządny człowiek z rodziną i zabrał mamusię z powrotem do dworu. Ja przysyłałam z Krzewa paczki żywnościowe. Życie w tym czasie było więc znośne, ale niestety nie na długo.

⁸ W związku z zatarciem się w pamięci mamy okresu pobytu w Łomży podczas jej ewakuacji przez bolszewików postanowiłam uzupełnić pamiętnik mamy.

Mieliśmy nadzieję, że okres wyewakuowania miasta będzie krótki. Myliliśmy się! Ojciec znalazł „posadę” jako starszy stróż, mający pod sobą dziesięciu stróżów. Ich zadaniem było pilnowanie, by co najmniej ograniczyć grabieże. Bolszewicy postawili jednak warunek, że stróże mogą zostać w mieście, ale bez rodzin. Przenieśliśmy się więc do sutereny w tej samej willi przy ul. Św. Mikołaja; zachowywaliśmy się „jak myszy pod miotłą”; okna pozasłaniane i zablokowane „na głucho”; wychodziliśmy na dwór do ogrodu tylko nocą z wielką ostrożnością i to tylko wtedy, gdy nie było księżycy.

Okres ewakuacji przedłużał się, nerwy były na wyczerpaniu, więc rodzice postanowili jednak wyjechać z Łomży. Ojciec kupił od bolszewika konia za srebrny zegarek mamy i następnego dnia rano wyjeżdżamy. Dojechalśmy późnym popołudniem do wsi Lubotyń, mniej więcej w połowie drogi między Łomżą a Ostrowią Mazowiecką. Następnego dnia dojechalśmy dalej do wsi Rząśnik i tam zamieszkaliśmy u bardzo sympatycznych i gościnnych gospodarzy. Po około roku przeprowadziliśmy się z czasem z powrotem do Lubotynia.

Po pewnym czasie mąż znów dostał posadę rządcy w innym majątku, też niedaleko Łomży. Wojna z Rosją natężyła się, front zbliżał się, więc wyjechaliśmy do Łomży i zamieszkaliśmy w willi wujostwa męża (przy ul. Św. Mikołaja; za czasów komuny zmieniono tę nazwę na ul. Mikołaja – przyp. A.P.).

Kiedy Niemcy zbierali się do ucieczki z Łomży nakazali ewakuację z miasta wszystkich mieszkańców. My zostajemy. (Sowieci co noc bombardują Łomżę; pięć bomb burzących spadło wokół pałacu biskupiego – ogromne leje, ale w pałacu nie wypadła ani jedna szyba! – przyp. A.P.). Raptem wchodzi dwóch Niemców i chcą zabrać nas i kuzynkę z małą córeczką. Jeden z nich okazał się Ślązakiem. Błagałam go, by nas zostawił. Pozwolił jednak zostać tylko mnie z synkiem i dziewczynce, a męża i kuzynkę zabrali. W tej sytuacji uciekamy na stary cmentarz.

(Okazało się, że na tym cmentarzu są już tłumy łomżan. „Zamieszkaliśmy” na zarośniętym grobie jak w jednoosobowej izbie, nie bojąc się zupełnie, że pod nami leży nieboszczyk – on okazał się naszym przyjacielem. Na szczęście było ciepło i nie padał deszcz. Żaden Niemiec nie wszedł wtedy na cmentarz – przyp. A.P.).

Przeniosłam co mogłam najważniejszego – pościel, kuchenkę spirytusową, jakieś naczynia, trochę jedzenia. Kładziemy się na płycie grobu otoczonego płotkiem z metalowych prętów i gęstymi krzewami. W połowie nocy słyszę głos męża: Elżuniu! Boże, co za radość. Udało mu się wyskoczyć z grupy prowadzonych więźniów i wpaść na podwórko pobliskiego gospodarstwa. Przerazenie! Przed domem siedzi Niemiec. Okazał się dobrym człowiekiem; kazał mężowi uciec na strych i tam zakopać się w sianie. Mąż słyszy, że zjawili się Niemcy, którzy prowadzili całą kolumnę i pytają Niemca, czy wszedł tu mężczyzna; on spokojnie odpowiada, że nie. Dzięki niemu mąż ocalał i w nocy, kryjąc się, wrócił do Łomży. Dowiedział się od sąsiadów willi, gdzie mieszkaliśmy, że jesteśmy na cmentarzu.

Rano weszli do Łomży bolszewicy.

Radość i lęk, ponieważ trzeciego dnia przyszedł z Krzewa Komorowski, dawny karbowy (imienia nie pamiętam; on wywiózł mnie wspólnie z nianią z Krzewa w 1939 r. i obronił przed tamtymi komunistami – przyp. A.P.), jedyny przyjaciel, i ostrzegł, by mąż wyjechał z Łomży, ponieważ komuniści krzewscy boją się zemsty męża za wywiezienie ojca do więzienia w Łomży i oddania w ręce NKWD.

Następnego dnia po naszym wyjeździe z Rząśnika przyszedli do gospodarzy bolszewicy, pytając, gdzie jest ten *pamieszczik*, co tu mieszkał. Powiedzieli, że przyszedli nas zabić. Gospodarze odpowiedzieli, że nie mają pojęcia. Tamci dali spokój i już dalej nie szukali. To była Opatrzność Boska!

Polecił mężowi swego znajomego zamożnego gospodarza, który mieszkał 27 km od Łomży. Odprowadziłam męża do rogatek Łomży, przeżegnałam, oboje się popłakaliśmy i poszedł. To było straszne. Kiedyś był kimś – dziedzicem na majątku, otoczony służbą i dostatkiem, a teraz jest osaczony, przerażony, wędrujący piechotą nie wiadomo do kogo.

Szczęśliwie ten zamożny szlachcic przyjął męża przyjaźnie, przeszli od razu na ty, by udawać pokrewieństwo i zatrudnił go w swoim gospodarstwie. Jednak po dwóch – trzech tygodniach mąż musiał i stamtąd uciekać, bo bolszewicy zaczęli dobierać się i do tych gospodarzy.

Wrócił do Łomży; bolszewicy ewakuowali Łomżę i zaczęli grabić co się dało.

To już tyle lat minęło, mylą mi się daty różnych incydentów i sytuacji⁹.

Wyjechaliśmy z Łomży. Po paru zmianach miejsc pobytu zamieszkaliśmy ostatecznie w Lubotyniu (mniej – więcej w połowie drogi między Łomżą a Ostrowią Mazowiecką).

Tam wynajęliśmy opuszczony sklep z pokojem i kuchnią. Mamy krowę, dwa świniaki, konia i wóz na balonach. Zaczynamy jeździć do Ostrowi Mazowieckiej po różne towary do sklepu; musiała być niestety i wódka (najlepsze były jednak samogony, których moc musiała wynosić ponad 60%! – przyp. A.P.).

Pewnego dnia mąż jedzie do Łomży; nie wraca. Trzeciego dnia od jego wyjazdu jakiś mężczyzna zajeżdża naszym wozem i mówi, że bolszewicy zaarrestowali męża; do Łomży jest około 30 km. Następnego dnia raniutko siadam na wóz i jadę do Łomży zostawiając 9-cioletniego synka pod opieką gospodarzy, a jemu oddając pod opiekę krowę i dwie świnki. Wiozę mężowi ciepłą, długą burkę, miskę, łyżkę i coś do jedzenia. Idę pod więzienie i proszę, by podali to mężowi. Tam mówią, że go nie ma. Ja twardo mówię, że jest. Pytają, skąd wiem. Mówię, że wiem i już. Jakimś cudem przekonuję ich, biorą paczkę.

Mąż ją dostał. Opowiadał potem, co to była za radość! Leżeli w piwnicy na ziemi, jedzenie dawali bez łyżek.

Teraz zaczęło się ratowanie męża. Siedział siedem tygodni. Kiedy jechał do Łomży zauważył go komunista z Krzewa, ten sam, który w 1939 r. wywiózł ojca męża do więzienia w Łomży i oddał w ręce NKWD jako „znenawidzonego krwio pijęcę – *pamieszczika*”. Widząc jego syna, zapewne przestraszył się, zebrał garstkę sobie podobnych i napisali do bolszewików, że dziedzic współpracował z Niemcami i jeszcze inne oskarżenia. Groziła mężowi za to kara śmierci.

Dowiedziałam się, kto jest komendantem więzienia. Był to NKWD-zista.

⁹ Słyszałem również o innej wersji unicestwienia tego szwaba. Miał być złapany przez partyzantów, przywiązany do drzewa w podmokłej olszynie, gdzie wykończyły go komary. To też może być prawdopodobne.

Poszłam do niego do mieszkania na I piętro więzienia; on wychodzi, a z nim ogromny wilk, który schodzi do mnie; nie rozumiem teraz, że się go nie przestraszyłam tylko położyłam rękę na jego łbie i tak weszłam na górę. NKWD-zista był zdumiony, że się nie bałam tego psa. Widocznie to go do mnie dobrze usposobiło.

Na zarzut oskarżeń męża mówię mu, że jeśli ja teraz powiem, że chcą zabić Stalina, to uwierzcie mi. Odpowiedział – nie. A więc tak samo gołosłowne są te oskarżenia dotyczące męża.

Przez 2–3 dni jestem w Łomży, tydzień z synkiem i znów do Łomży. Komendant powiedział, że jak dostarczę dobrą opinię o mężu od ludzi z Krzewa, to męża zwolni. Jadę do proboszcza w Drozdowie i błagam, by pojechał do Krzewa i tam zebrał podpisy życzliwych gospodarzy i służby. Udało się! Opinia bardzo dobra. Podaję ten dokument do więzienia. Dostaję do domu wiadomość, że będzie zwolniony.

Jedziemy z synkiem wozem do Łomży; w połowie drogi widzimy idącą postać; Andrzejek woła, tato! Rzeczywiście mąż. Radość szalona. Stan jego jest okropny, mizerny, zawszony, ale wolny¹⁰.

W Ostrowi Mazowieckiej mieli aptekę nasi przyjaciele. Dają nam znać, że wyjeżdżają do Giżycka, by tam się osiedlić. Mówią, że dadzą nam znać, jeśli coś dla nas znajdą.

Wzywają; jest mieszkanie i możliwość otwarcia sklepu. Jedziemy! Mieszkanie na trzecim piętrze (zdaje nam się cud) – trzy duże pokoje, kuchnia, łazienka – po klitce na wsi – wspaniałe! Znajdujemy niedaleko pusty sklep – zajmujemy go. Wówczas nie było jeszcze żadnych przepisów władz, każdy mógł postępować według własnych potrzeb.

Sprzedajemy moją ostatnią, dużą brylantową broszkę i za to mąż kupuje towary szewskie i z tym zaczynamy. Co pewien czas jedno z nas jedzie do Warszawy po towar: obuwie, przybory szewskie, wędkarskie. Sklep się rozkręca. Mamy już pomoc domową – kucharkę i ekspedientkę do sklepu.

Apteka przyjaciół świetnie prosperuje. Mamy już nowe znajomości – kilka miłych rodzin, z którymi zaczynamy utrzymywać częste stosunki towarzyskie. Urządzamy imieniny, święta.

Tymczasem zjawiają się władze, zaczynają zaciskać pętlę. Milicja i UB węszą. Dowiadujemy się, że będzie rewizja. Będą szukać prawdopodobnie dolarów (za jednego

¹⁰ Droga biegła na tym odcinku przez olszynkę. Widzę z daleka jakiegoś mężczyznę zarośniętego, w długiej burce, z kijem; pusto, nikogo nie ma, strach mnie obleciał; w tym momencie przestraszyłem się... własnego ojca! Bo to był on!

dolara może być nawet kara śmierci!). Szczęśliwie nic nie znajdują. Zaczyna się coraz trudniejsze życie. Przychodzi moment, że trzeba wyjechać z Giżycka.

Przyjmuje nas moja przyrodnia siostra, Barbara Wańkiewicz (jej mąż, płk Aleksander Wańkiewicz był stryjecznym bratem Melchiora) mieszkająca w Mosinie k. Poznania. Ma dwa pokoje, kuchnię, łazienkę; odstępuje nam większy pokój, ale jest on i tak za ciasny dla trzech osób, więc wynajmujemy niedaleko pokój dla syna. Dojeżdża do Poznania do liceum.

Tak mija około trzech lat. Mąż ma posadę inspektora w hodowli nasion w Poznaniu; jest to praca terenowa, objeżdża motocyklem plantatorów.

Postanawiamy wreszcie szukać mieszkania; znajdujemy je w Puszczykówku niedaleko Mosiny w dość sfatygowanym domu, ale są trzy pokoje – jeden duży i dwa małe, kuchnia, bez łazienki, WC na podwórzu (a mrozy były dość solidne – przyp. A.P.).

Ktoś jednak zazdrościł nam tych trzech pokoi, bo doniósł do tzw. kwaterunku i dokwaterowano nam do najmniejszego pokoju rodzinę trzyosobową z córką po gruźlicy. Rodzina ta okazała się bardzo porządna, kulturalna, tak że przez półtora roku ich zamieszkiwania żyliśmy wręcz w przyjaźni (ze wspólną kuchnią)!

Mąż ma nadal tę samą pracę, nadal jeździ motocyklem po wsiach w sprawach kontraktacji.

Pewnego dnia wpada na niego zza zakrętu, zza muru wóz konny z nawozem. Mąż dostaje się między konie pod wóz. Zostaje do połowy prawie oskalpowany, ale poza tym jest – na szczęście – cały i przytomny. Pogotowie wiezie go do szpitala do pobliskiego Śremu. Co drugi-trzeci dzień jadę do niego wożąc ręczniki, bo ze zszytej rany cieknie ropa.

Mąż chodził przedtem przez parę miesięcy do pasieki w Puszczykówku i tam pszczelarz dawał mężowi bezpośrednio z ula mleczko pszczele. Lekarz prowadzący męża w szpitalu powiedział, że dzięki temu rana oczyszcza się poprzez ropę z nawozu, który przykleił się do głowy i nie można było go inaczej usunąć.

Po około dwóch tygodniach mąż wraca do domu, ale już nie ma mowy o intensywnych jazdach motocyklem. Dostaje rentę.

Przenosimy się też w Puszczykówku do innego domu. Jest to willa, której właścicielka mieszka w Poznaniu i wynajmuje nam pół mieszkania – duży pokój z obszernym balkonem, dużą kuchnię i dużą piwnicę; jest jednak wspólna łazienka i przedpokój, co niestety nie jest przyjemne, ale trudno!

Właścicielka wydzierżawiła nam duży ogród z małą hodowlą nutrii oraz połowę garażu. To wszystko zachęciło nas do przeniesienia się tutaj. Ogród daje nam dużo radości, a

nutrie – niewielki dochód; w garażu mąż otwiera mały warsztat, w którym wyrabia najpierw guziki skórzane, potem drążki do firan.

Niestety po około półtora roku sąsiad kupuje ogród, co powoduje, że musimy zlikwidować nawet tę małą hodowlę nutrii.

Jest to dla nas wielka przykrość i strata.

Na tym kończy się pamiątnik mojej Mamy.

Rodzice mieszkali w tym mieszkaniu aż do końca swoich lat.



Drozdowo 2014r.
Krzysztof - gawroni dworze
murowanego
Dorośli stoją od lewej: Piętkowskiej,
Stefania, Babcia Maria, NN,
Władysław, Tadeusz, Dziadek
Andrzej.
Młodzież: mierzwiński
Ples Marek

Majątek Krzewo- dwa dwory-opis

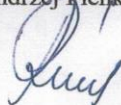
Dwa dworskie budynki mieszkalne znajdowały się na terenie zespołu dworsko-parkowego oddzielonego drewnianym ogrodzeniem od terenu podwórza, na którym były usytuowane zabudowania gospodarcze.

Dwór murowany z cegły znajdował się w parku w południowej części zespołu z widokiem na zakola Narwi i był zamieszkały przez rodzinę mojego Dziadka, Antoniego Pieńkowskiego. Był to budynek dwuskrzydłowy posiadający sześć pokoi, kuchnię ze spiżarnią, umywalnię i garderobę, w znacznej części podpiwniczony, nakryty dachem dwuspadowym pokrytym dachówką. Główne wejście od frontu stanowiła przeszklona drewniana weranda usytuowana w środkowej części budynku, z której wchodziło się do przestronnego przedpokoju.

Dwór drewniany był zlokalizowany w zachodnio-północnej części parku, posiadał cztery pokoje, kuchnię ze spiżarnią, garderobę, umywalnię, przedpokój, z którego wychodziło się na drewniany ganek od strony południowej; pod gankiem było wejście do części podpiwniczonej budynku; od strony północnej była przeszklona weranda, z której wchodziło się do pomieszczeń gospodarczych. Budynek był nakryty dachem dwuspadowym pokrytym gontem. Dwór drewniany był zajmowany przez rodzinę Władysława Pieńkowskiego, syna Antoniego.

Poznań, dnia 23.09.2013 r.

Andrzej Pieńkowski





Drozdowo 2014.

Krzysztof - młodszy brat
murowarskiego.

Konrad - Władysław Piętkowski
Płocin od lewej:

Aleksandra, Dziadek Antoni Gaj
ojciec, NN, Tadeusz, Babcia
Maria Piętkowsky